Tanith Lee 
Łzy pośród deszczu 
Tego dnia ogłoszono Alarm pogodowy, więc przede wszystkim nikt z nas nie wychodził. 
Dzieci oglądały płatną telewizję, a ja karmiłam kury na podwórzu zamkniętym. Zbliżała się 
dziewiąta rano. Nadeszła nagle matka, stanęła na skraju podwórka. Pamiętam, jak na mnie 
patrzyła: widywałam już to spojrzenie i choć nigdy nie padło słowo wyjaśnienia, wiedziałam, 
co oznacza jej wzrok. Tak samo taksowała spojrzeniem kury albo warzywa i sałatę w 
korytkach. Dziś wystąpiła subtelna różnica - i ja to zauważyłam. Chyba przyszła na mnie 
pora. 
 - Greena - zawołała. Szybkim krokiem ruszyła w stronę kurnika, zerkając na pożałowania 
godne kury. Przez cały tydzień zniosły tylko trzy jajka, jedno z wysokim poziomem. Mimo to 
matka miała teraz w głowie coś innego niż drób. 
 - Greeno, przed południem pójdziemy do Centrum. 
 - Mamo, a Alarm pogodowy? 
 - Alarm? Ci idioci często się mylą. Zresztą zapowiedzieli coś dopiero po południu. 
Przedtem Bez Zmian. Zdążymy do środka. 
 - Ale mamo - zaprotestowałam - nie złapiemy autobusu. Podczas alarmu nie jeżdżą. 
Będziemy musiały iść piechotą. 
 Jej twarz, sucha, przeżarta do kości przez życie i los, kłapnęła na mnie jak szczurołapka: 
 - Więc pójdziemy piechotą. Nie zaczynaj, Greeno. Od czego masz nogi ? 
 Wytrząsnąwszy resztki karmy z miski ruszyłam do drzwi schodowych. 
 - Jeśli już mowa o nogach - odezwała się matka - włóż pończochy. I tamte rzeczy, które 
kupiłyśmy ostatnim razem. 
 Wiecznie to samo gadanie. Naturalnie ze względu na kamery, zwłaszcza w łazienkach u 
Wejścia. Człowiek się rozbiera i wszystko, co miał na sobie przechodzi przez maszynę 
piorącą - do odbioru z drugiej strony. Przy kamerach czuwa straż bezpieczeństwa i lekarze, 
którzy zawsze mogą coś dostrzec i zainteresować się bliżej. Trzeba wkładać najlepsze 
ubranie, żeby się później nie wstydzić: rzeczy, które nawet lekarz z Centrum przejrzy bez 
obrzydzenia. Pedantka z tej mojej matki. Poszłam wziąć prysznic, umyłam włosy 
szamponem, potem użyłam pudru o zapachu róż, zakupionego w Centrum, żebym cała mogła 
pachnieć czystością, gdy będę przechodzić mycie w Wejściu. Następnie założyłam najlepszą

bieliznę i białą sukienkę, pończochy, pantofle; nie zapomniałam też wrzucić pudełka 
różanego pudru do torebki. 
 Matka była gotowa, czekała już, gdy schodziłam do drzwi zewnętrznych, ale mnie nie 
skarciła. Oczekiwała mojej sumienności. 
 Dzieciaki wrzeszczały wokół telewizora, tylko siedmioletnia Daisy, która miała ich 
pilnować, ze strachem i zazdrością patrzyła, jak wychodzimy. Matka zapędziła ją krzykiem 
do środka, zanim otworzyłyśmy drzwi. 
 Po odszczelnieniu, kiedy wyszłyśmy na dwór, uderzyło w nas gorąco upału. Dzień był 
bardzo ciepły, niebo wciąż czyste jak niebieskie pleksi. Ale ponieważ ogłoszono Alarm, nie 
było rzecz jasna żadnych autobusów i prawie nikogo na ulicy. Zresztą w dni Alarmu 
naprawdę nie miało się dokąd pójść. Wszystkie sklepy uszczelniano na cztery spusty, tak 
samo trzy okoliczne bary. Nasza stacja kolejowa przestała funkcjonować, gdy miałam cztery 
lata: jedenaście lat temu. Nawet niezliczona banda dzikich lokatorów ustawiała swoje deski z 
narzuconym brezentem. 
 Na rozpalonym, pokrytym kurzem chodniku minęłyśmy jedynie parę włóczęgów-fatalistów 
przybyłych z podmiejskiego pasa zieleni, niosących flaszki jabłecznika czy petromiksu, które 
wesoło wznieśli na nasz widok. (Matka popchnęła mnie naprzód.) Gdy pokazał się wóz 
policyjny, oczywiście zaczął sunąć obok nas i włączył swój głośnik. 
 - Czy ta wędrówka jest istotnie konieczna, proszę pani? Matka, której cierpliwość była na 
wyczerpaniu, zgrzytnęła ze złością: 
 - Tak, konieczna. 
 - Pani wie, że prognoza przewiduje deszcz w tych rejonach? 
 - Tak - warknęła. 
 - A to pani córka? Nierozsądnie z pani strony ryzykować, że dziecko... 
 - Córka i ja idziemy do Centrum. Jesteśmy umówione. Jeżeli nic nam nie przeszkodzi, 
będziemy w środku, nim spadnie pierwsza kropla deszczu - wycedziła moja matka, 
przeszywając wzrokiem nadętego policjanta, który w samochodzie o oknach z Uszczelu robił 
wszak jedynie, co do niego należy. 
 Dwaj policjanci w zacisznym wozie patrolowym wymienili spojrzenia. 
 Kiedyś mogli nas aresztować za nieodpowiedzialne zachowanie; mnie też, razem z matką, 
ale teraz nikomu już nie zależy. Za wiele zbrodni wokoło. Nasze zmartwienie. 
 Policjant, który mówił do nas, uśmiechnął się kwaśno i zgasił głośnik - zresztą uśmiech też. 
 A jednak czworo oczu utkwiło we mnie na moment, zanim samochód odjechał. 
Przynajmniej tyle miała z tego matka. Chociaż policjant nazwał mnie dzieckiem z powodu 
paska na przegubie białego do lat szesnastu - najwyraźniej dostrzegł, że wyglądam bardziej 
dojrzale, a przy tym całkiem do rzeczy.

Matka maszerowała naprzód, bez jednego spojrzenia w niebo. (Prawda, istnieje parę 
schronów pogodowych, ale większość zniszczyli wandale.) Podziwiałam matkę, choć nigdy 
nie umiałam jej kochać, czy nawet polubić. Była fenomenalnie silna i potrafiła nas utrzymać 
razem, nawet po tym, jak mój tata skończył na raka, a później ten drugi, ojciec Joga, Daisy i 
Anielki. Matka, za pomocą lania i awantur, zdołała pokazać nam, czego mamy się w życiu 
spodziewać. Ale kiedyś musiała mieć trochę fantazji: weźmy na przykład głupie imię, które 
mi dała - zielone, od zieleni drzew i pastwisk, zieleni wody przypominającej butelkowe szkło; 
widziałam to wszystko wewnątrz Centrum. Drzewa na ulicy i w opuszczonych ogrodach są 
zawsze łyse albo z rzadka pokryte liśćmi w całkiem przyjemnym kolorze brązu. Czasem 
wypuszczały dziwne pąki albo owoce; wtedy ktoś o tym donosił i drzewa ścinano. Myślę 
sobie, że one przypominały trochę moją matkę, albo to w niej tkwiło podobieństwo do drzew. 
Twarda determinacja, uparte trwanie zasuszonych konarów, które nie ośmielają się zakwitnąć, 
i pazury korzeni wczepione w grunt. 
 Dzielnie okazała tylko odrobinę zdenerwowania, kiedy mogłyśmy już dostrzec blask kopuły 
w słońcu oświetlającym Wysokie Wzgórze znad ruin starego kina. Znacznie wtedy 
przyspieszyła, poganiając mnie. A jednak ani razu nie spojrzała w górę, by szukać chmur. 
 Wszystko poszło, jak należy: niebo wciąż było czyste, gdy znalazłyśmy się w podziemnym 
przejściu z betonu. Podczas jazdy ruchomym chodnikiem pozwoliłam odpocząć stopom, 
stając to na jednej, to na drugiej nodze, jak widziany kiedyś w telewizji bocian. 
 Matka zobaczyła i natychmiast kazała mi przestać. Kamery śledzą całą długość chodnika do 
Wejścia. Nie miało sensu tłumaczenie, że to nieważne. Nie znosiła pyskowania i choć pewnie 
darowałaby mi przed kamerami, mogłam oberwać później. Pamiętam, miałam sześć czy 
siedem lat, gdy zbiła mnie po raz pierwszy. Użyła w tym celu plastykowego paska, po zdjęciu 
sprzączki. Nie chciała zostawić mi blizny. Nieuszkodzona Greena była sposobem 
przetrwania; matka już wówczas wiedziała, że coś ze mnie wyrośnie. Ale uderzenia pasa 
bolały, zostawiały pręgi. Gdy leżałam i wyłam, pochyliła się nade mną zdyszana: 
 - Nie będziesz mi się odszczekiwać, słyszysz? Nie pora na to. Zrobisz, co ci każę. 
Po udzieleniu odpowiedzi na zwykłe pytania stanęłyśmy w kolejce do łazienki. Niedużo ludzi 
stało, bo przecież był Alarm. Prześliznęłam się przez wykrywacz mechaniczny i kobieta z 
obsługi nawet nam pogratulowała niskiego poziomu. 
 - Sekcja SEK, prawda? - spytała zachęcająco. - Bardzo dobry rejon. Tam mieszka mój brat. 
Skończył trzydziestkę i ma troje dzieci. 
 Z kolei matka pogratulowała tej kobiecie i z dumą oświadczyła, że nasz dom pierwszy w 
całym SEK miał założony Uszczel. 
 - Moje dzieci nigdy nie bawiły się na dworze - zapewniła.- Nawet tutaj Greena prawie nie 
wychodziła przed skończeniem jedenastu lat. Większość naszej żywności sami hodujemy. 
 Nagle czując, że wyjawia zbyt wiele - w końcu nigdy nie wiadomo, kto podsłuchuje, a na 
przedmieściach grasują gangi włamywaczy - zamknęła się jak uszczelniona. 
 Gdy wchodziłyśmy do łazienki, za nami rozgorzała straszna kłótnia. Rozległ się ryk 
mechanicznego wykrywacza. Jakaś kobieta znacznie przekroczyła dopuszczalny poziom.

Wrzeszczała, że musi dostać się do Centrum, do córki, która będzie rodzić najstarsza 
wymówka, zresztą może prawdziwa, choć sprawy ciąży podlegają pod kopułą ścisłej 
regulacji. Ktoś ze straży medycznej szarpał kobietę pytając o Ubezpieczenie. 
 Gdyby je miału, szpital Wejścia zająłby się nią i być może coś poradził. Lecz ona nigdy nie 
dostała Ubezpieczenia, mimo ie jej córka była w Centrum; syreny wyły i już dochodziło do 
rękoczynów. 
 - Mamo - odezwałam się, gdy wchodziłyśmy w obszar białych kafelków i plastyku, z 
mrugającymi oczami czarnych kamer nad głową, w huku wodospadu pryszniców. - Mamo, do 
kogo mnie prowadzisz? 
 Ona naprawdę wyglądała na zaskoczoną; chyba wciąż myślała, że w swej naiwności nie 
odgadnę celu, do jakiego zmierzała od początku: ona też chciała mieć córkę w Centrum. 
Spiorunowała mnie wzrokiem; potem powiedziała nieodmienne: 
 - Nie twoja sprawa. Licz, że ci się poszczęści. Zabrałaś puder? 
 - Tak, mamo. 
 - Dobrze, weź jeszcze to. Spotkamy się w barze. 
 Otworzyłam pudełko, w którym był tusz do oczu "Smoky", kremowa szminka pachnąca 
brzoskwinią i mały flakonik perfum w aerozolu o nazwie "Niech Się Stanie". 
 Żołądek podszedł mi do gardła. Lecz zaraz pomyślałam: no i co z tego. Prawdziwą głupotą 
z mojej strony byłaby wiara we własną naiwność. Wiedziałam od lat. 
Gdy kończyłyśmy w barze hamburgery, zaczęło wreszcie padać na dworze. To dawało się w 
y c z u ć , pomimo wielokilometrowej odległości, pod ochronnymi warstwami i szkłem 
ołowiowym. Coś w rodzaju migotania wzroku. Tutaj nic nam nie zagrażało, ale ludzie 
instynktownie odsuwali się od ścian zewnętrznych baru, kryli się pod liśćmi zasadzonych w 
skrzynkach plastykowych palm. Matka została na miejscu. 
 - Skończyłaś, Greeno? To idź do łazienki i wyczyść zęby, zanim wyruszymy. Wyperfumuj 
się jeszcze. 
 - Flakonik pusty, mamo. Starczyło na jeden raz. 
 - Rozbój w biały dzień - sarknęła matka. - W ogóle nie czuć. 
 Kazała mi pokazać pusty aerozol i zmusiła do psyknięcia powietrzem w jedno i drugie 
ucho. 
 Na tyłach baru biegnie wysadzana drzewami autostrada do Centrum. Prawdziwe drzewa, 
zielone, a na poboczach zieleń traw. Zeszłyśmy ze stoku, by zaczekać na elektryczny autobus 
o wesołej, jaskrawej barwie, za to z nieuprzejmym kierowcą. Zawsze wydawało mi się, że 
wszyscy w Centrum tryskają radością i zadowoleniem, są pełni optymizmu i życzliwości. I 
stale doznawałam rozczarowań. Oni od razu wiedzą, że ktoś nie jest stąd; ostatecznie każdego 
zdradzi kolor cery, różny od bladości spod kopuły i czekoladowej opalenizny z solariów

Centrum. Choć nikt nie mógł tu wejść bez sprawdzenia dopuszczalnej normy, większość ludzi 
odsuwa się od przybyszów w autobusie czy kolejce podziemnej. Gdy raz czy dwa poszłyśmy 
z matką do kina w Centrum, nikt nie usiadł koło nas. A jednak nie wszyscy postępują w ten 
sposób. Osoba, do której prowadziła mnie matka, nie ma pewnie nic przeciwko temu. 
 - Będę mówić za ciebie - oświadczyła matka, gdy wysiadałyśmy. (Kierowca ruszył nie 
czekając, niemal strząsnął nas ze stopni z obrzydzeniem; dobrze, że żadna z nas nie zwichnęła 
nogi.) 
 - A jak on mnie o coś spyta? 
 - On? 
 Nie zamierzałam jednak ustępować tym razem. 
 - No, dobrze. W takim wypadku odpowiesz, ale wpierw dobrze się zastanów. 
 W niektórych zakątkach Centrum stoją bardzo stare budowle historyczne i pomniki miasta 
wewnętrznego: zadbane i ładnie utrzymane, ponieważ znajdują się w środku. Stanęłyśmy 
właśnie przed jednym z takich budynków. O ile dobrze pamiętam z telewizji (matka 
dopilnowała, żebyśmy wychowywali się z telewizją edukacyjną, lekcjami na kasetach i 
zestawami do ćwiczeń) architektura wyglądała na koniec osiemnastego albo początek 
dziewiętnastego wieku: biały kamień, zwieńczone okna i kolumnady portyku, a u stóp długich 
schodów - czarne żelazne lwy. 
 Gdy wchodziłyśmy po schodach, odczuwałam przejęcie i lekki strach. 
 Szklane drzwi za rzędem kolumn były szeroko otwarte. Właściwie dlaczego nie - tutaj 
można. Ciepły, lecz rześki powiew słodkawo pachnącego powietrza z klimatyzacji pod 
kopułą dmuchając w tę i z powrotem wdzięcznie poruszał liśćmi prawdziwych paproci w 
donicach. W holu stało akwarium ze złotymi rybkami. Chciałam zatrzymać się i popatrzeć. 
Czasem na ulicach Centrum widzi się zamożnych ludzi wyprowadzających na spacer 
czyściutkie i zadbane psy albo lisy. Kiedy indziej wysoko w oknie siedzi jedwabisty kot. W 
parkach Centrum mieszkają ptaki, nauczone, że nie wolno im latać nigdzie indziej. Gdy nad 
kopułą zapada zmierzch, słychać ich podniecone ćwierkanie: sadowią się do snu. Wtedy 
zapalają się wszystkie latarnie w mieście, a dookoła nich tańczą ćmy. W Centrum można 
dostać prawdziwy miód z farm pszczelarskich, wołowinę i mleko z ośrodków hodowli, a 
także łososia, wyprawioną skórę, wino i róże. 
 Ale rybki w zbiorniku były śliczne. I nagle pomyślałam, że jeśli tu zostanę - jeżeli się uda... 
ale nie wierzyłam ani trochę. Wypełniałam tylko wolę mojej matki, bo przecież nie wolno się 
jej sprzeciwiać, nigdy przenigdy. 
 Windziarz zabrał nas na szóste piętro. Doskonała obojętność: nas tu nie ma, on sobie jeździ 
windą z nudów. 
 Wielki, stary zegar w holu oznajmił trzecią po południu. Weszłyśmy w pusty korytarz. 
Podobnie jak okna, wszystkie pokoje były otwarte: wykwintne nisze ze szklanymi meblami - 
pomieszczenia biurowe. Ostatni pokój w głębi korytarza miał zamknięte drzwi.

Matka przystanęła. Była blada; jej oczy i usta tworzyły trzy rysy w bezbarwnej kości. 
Uniosła dłoń, która drżała, lecz pukanie zabrzmiało twardo i donośnie. 
 Po chwili drzwi same się otworzyły. 
 Matka weszła pierwsza. 
 Stanęła przede mną, pośrodku doliny wysłanej dywanem zielonym jak trawa, i zasłoniła mi 
widok. 
 - Dzień dobry panu. Mam nadzieję, że nie przyszłyśmy zbyt wcześnie. 
 Męski głos: - Ależ skąd. Córka jest z panią? Świetnie. Proszę do środka. 
 Głos brzmiał całkiem młodo. 
 Podążyłam za matką po trawiastym dywanie, ukazały mi się krzesła i biurko, potem matka 
pozwoliła mi stanąć obok siebie i powiedziała: 
 - To moja córka, Greena. 
 Pan Alexander. Miał najwyżej dwadzieścia dwa lata: wyjątkowe szczęście, bo urodzeni w 
Centrum dożywają pięćdziesiątki, a nawet sześćdziesiątki, choć dużo rzadziej. (Pod kopułą 
oni często nawet nie kończą na raka, pod warunkiem, że przyszli tu na świat. Matka zwykła 
mawiać, że zabija ich wygodne życie.) 
 Był opalony w solarium i nosił piękne ubranie: bawełnianą koszulę i spodnie. Miał srebrną 
bransoletkę - i nie pomyliłam się, co do jego wieku: czerwony pasek na nadgarstku. Wyglądał 
higienicznie i apetycznie, niemal smakowicie. Szybko odwróciłam wzrok pod jego 
spojrzeniem. 
 - Bardzo proszę usiąść - podał matce kryształową szklaneczkę dżinu z Centrum, na kostkach 
lodu z plasterkami cytryny. Z uśmiechem zapytał mnie, czy wypiję napój mleczny, tak, 
prawdziwe mleko, o smaku truskawkowym. Byłam zbyt zdenerwowana, by się ucieszyć, czy 
naprawdę chcieć, ale i tak nie miałam wyjścia. Nie odmawia się czegoś takiego. 
 Gdy przycupnęłyśmy na krzesłach, ze szklankami w ręku, on przysiadł na biurku (nie pił z 
nami). Machając nogą wyjął papierosa z pudełka i zapalił. 
 - Cóż, muszę przyznać... - zaczął rozmowę z moją matką jestem wdzięczny za przybycie 
tutaj i to po ogłoszeniu Alarmu. Dowiedziałem się, że była przelotna ulewa. 
 - Wtedy znajdowałyśmy się już w środku - prędko oświadczyła matka. Chciała ostatecznie 
wyjaśnić sprawę: deszcz nie zniszczył kwiatuszka. 
 - Tak, wiem. Wejście informowało mnie na bieżąco. 
 Prawdopodobnie sprawdził nasz poziom. W końcu miał do tego pełne prawo. Jeśli chciał 
mnie kupić, potrzebował gwarancji.

- Pozwoli pani, że powiem od razu: choć pierwszy raz widzę pani córkę, jestem pewien, że 
się nada do tego rodzaju pracy. Jest śliczna i ma mnóstwo wdzięku. 
 Udawanie, że w grę wchodzi jakaś praca, było normalne. Zresztą może z początku będę 
nawet gdzieś zatrudniona. 
 Matka musiała dawać ogłoszenia już od zeszłej jesieni. To wtedy zrobiła mi w Centrum 
zdjęcie. Byłam na nim tylko w nylonowych majteczkach z koronką. Taką fotografię robi się 
co dziesięć lat na badaniach w Medycznym. Ale przy każdym ogłoszeniu jest podobne 
zdjęcie. To nielegalne, ale ludzie się nie przejmują. Jeden chłopak z naszej ulicy trzy lata 
temu dostał się do Centrum w taki właśnie sposób. Zamieścił ogłoszenie, wszystko sam 
przygotował. Był przystojny, choć miał włosy tak wiotkie jak moje pewnie je straci przed 
osiemnastką. Ale zdaje się, że to nie miało znaczenia. 
 Czy matka dostała jakieś inne oferty? Czy tylko tego pana Alexandra o jasnych, 
wyrazistych oczach? 
 Nie zwracając uwagi skończyłam ofiarowany napój. 
 Pan Alexander spytał, czy mogłabym coś odczytać, wręczył mi zapisany rox. Dzięki 
staraniom mojej matki i lekcjom telewizyjnym umiałam czytać, w każdym razie rox na 
pewno; znajdował się na nim krótki tekst wzywający jakiegoś pana Clevelanda do biura 170B 
na siódmym piętrze, a pannę O'Beale do podziemi. Możliwe, że moja praca będzie wymagała 
odczytywania podobnych informacji. Podszedł i ze szczerą radością uścisnął mi dłoń, całując 
na próbę w lewy policzek. Usta miał jędrne i zdrowe, a jego wspaniały zapach przywodził na 
myśl pieniądze i poczucie bezpieczeństwa. Nie na darmo matka nade mną pracowała. 
Natychmiast rozpoznałam tę woń i spodobała mi się. Pomiędzy odczytywaniem kolejnych 
wiadomości może pozwolą mi karmić ryby w zbiorniku. 
 Pan Alexander był wyjątkowo uprzejmy i znów nalał matce pełną szklankę dżinu, 
prowadząc z nią towarzyską rozmowę o najnowszych filmach w Centrum, najmodniejszym 
kolorze - bez żadnej przykrej czy nietaktownej wzmianki na przykład o cenach żywności w 
środku i tam albo o zamieszkach w SEO miesiąc temu, kiedy to odgłos pożarów i huk 
pistoletów policji przeniknął nasze szczelne ściany domu w SEK. Nie wspomniał też nic na 
temat bieżących wydarzeń, o wskaźniku śmiertelności na kontynencie albo o wojnie celnej z 
USA - wiedział, że nasze kanały telewizyjne są cenzurowane. Ograniczona wiedza 
uniemożliwiała nam wszechstronną dyskusję. 
 Wreszcie oświadczył: - No cóż, nie będę was dłużej zatrzymywał. Jeszcze raz dziękuję. 
Chyba można powiedzieć, że wiemy już, na czym stoimy, prawda? - Roześmiał się poprzez 
dym czwartego papierosa, a matka zdobyła się na swój uśmiech trupiej czaszki, pokazując 
resztki zębów wypłukane w dżinie z cytryną. 
 - Oczywiście napiszę do pani. Szczegóły prześlę ekspresem. to by oznaczało, że list 
nadejdzie... od dziś za pięć dni. Zgoda? 
 - Doskonale, proszę pana - odrzekła matka. - Mogę powiedzieć w imieniu Greeny: jest 
niezwykle wzruszona. To dla nas tak wiele znaczy. Jednak jest pewien problem, oferty 
jeszcze kilku panów - naturalnie poprosiłam o zwłokę. Mam dać odpowiedź przed końcem 
tygodnia.

Wykonał gest udawanego przerażenia: 
 - Wielkie nieba, nie mogę utracić Greeny. Powiedzmy trzy dni, dobrze? Zobaczę, może uda 
mi się wyprawić posłańca, by mój list doszedł jak najszybciej. 
 Pożegnałyśmy się; znów ścisnął mi dłoń i pocałował w oba policzki. Biło od niego 
wewnętrzne ciepło i jakaś siła. Czułam się jak po pocałunku tygrysa i chyba byłam 
zakochana. 
Przy wyjściu długo z moją matką czekałam, aż megafony ogłoszą Bez Zmian, choć wcale nie 
zaczęło znów padać. Gdy znalazłyśmy się na zewnątrz, zachód słońca rozświetlał czyste 
niebo nad przedmieściami płomieniem w sześciu barwach czerwieni. 
 - Zobacz, mamo - powiedziałam, bo wychowana w zamknięciu, rzadko miałam okazję 
patrzeć na gołe niebo. - Czy to nie piękne? Przez kopułę wygląda inaczej. 
 Lecz u matki piękno widoku nie budziło podobnych uczuć. W końcu to skażenie powietrza 
sprawia, że kolory świtu i zmierzchu są tak wspaniałe. Dlatego radowanie się nimi jest 
idiotyczne, może nawet sprzeczne z prawem. 
 Poza tym matka zachowywała się bardzo dziwnie od momentu opuszczenia biura pana 
Alexandra. Nie pojęłam, że przecież zadziałał dżin szczodrze wlewany w duże szklanki. Z 
początku była zawzięta i energiczna, w bojowym nastroju heroicznie stawiała czoła 
wymuskanemu Centrum i nawet pokazywała mi różne miejsca, niczym przewodnik. Nie 
wypowiadając tego głośno dawała mi do zrozumienia: kiedyś będziesz tu żyć. Ale potem, gdy 
w poczekalni przy wyjściu wypiłyśmy mnóstwo dość paskudnej kawy z automatu, zatopiła się 
we własnych myślach. Jej oczy stały się tak ciemne i bez wyrazu, że odwróciłam wzrok. 
Przestała się do mnie odzywać. 
 Alarm deszczowy odwołano, lecz było za późno na autobus. Powstał dodatkowy problem 
gangów wychodzących na ulicę w poszukiwaniu zaczepki. 
 Wspaniała, zatruta łuna zamierała w krajobrazie smolistych kikutów drzew, piramid i 
bloków opuszczonych budowli, zardzewiałego ogrodzenia. 
 Na szczęście kręciło się sporo patroli policyjnych. Matka dała im krótką odprawę, gdy ją 
zatrzymali. Generalnie nie zwracali na nas uwagi. Nie wyglądałyśmy niebezpiecznie. 
 W SEK zapalały się ocalałe latarnie i zwykli ludzie przechadzali się, albo siedzieli na 
resztkach zwalonych ścian wdychając mniej szkodliwe powietrze. Wyłażą z nor jak kiedyś 
króliki. Minęłyśmy grupkę znajomych kobiet przed domem z Uszczelu na końcu naszej ulicy. 
Zapytały, skąd wracamy. Matka ucięła krótko: - Byłyśmy u znajomego i tam przeczekałyśmy 
Alarm. 
 Choć Uszczel, jak głosi reklama, jest odporny na wszystko prócz wybuchu nitrogliceryny, 
matkę ogarnął nagle jakiś okropny niepokój. Błyskawicznie przemierzyła beton do drzwi, 
otworzyła i wciągnęła mnie za sobą. Wrzuciłyśmy ubrania do zbiornika, choć właściwie nie 
wymagały prania po prawie całym dniu spędzonym w Centrum. Telewizor dalej ryczał. 
Matka pobiegła do pokoju dzieci, wciągając po drodze nylonową bluzkę i spódnicę. Zaraz 
wybuchła awantura. W ciągu dnia Jog wysypał całą ogromną puszkę mleka w proszku. Daisy

próbowała posprzątać, bo postanowili nic nie mówić matce, choć ona przecież musiałaby i tak 
zauważyć brak puszki. Daisy miała dopiero siedem lat, a Jog trzy, więc szybko wszystko się 
wydało. Matka dołożyła wszystkim, nawet Anielce. Daisy, odpowiedzialna za dom podczas 
naszej nieobecności, dostała pasem; niezbyt mocno, ale wystarczająco, by nasz szczelny dom 
wypełnił się wrzaskami i dzikim szlochem. 
 Już po wszystkim zrobiłam herbatę. Piliśmy bez mleka, które trzeba było oszczędzać do 
końca miesiąca. 
 Matce minął nastrój zamyślenia. Ponosiło ją. Zabrała mnie ze sobą na górę, do kur. Ostatnio 
jajka wykazywały coraz wyższy poziom. Może podwórze zamknięte miało jakąś 
nieszczelność? 
 Znalazłyśmy się pośród grządek sałat; nasze człapanie obudziło kury, które zatrzepotały z 
nagłym ożywieniem. Matka chwiała się na drabinie, pod samym dachem, z latarką. 
 - Nic tu nie widzę - powtarzała. 
 Zeszła wreszcie. Oparła się o drabinę i stała z dyndającą latarką, w której wypalały się 
baterie. Z trudem łapała oddech. 
 - Mamo... nie zgasiłaś latarki. 
 Wyłączyła ją i kładąc na słupku przy ogrodzeniu podeszła nagle. Chwyciła mnie za ramiona 
i wpiła wzrok w moją twarz. - Greeno, czy ty rozumiesz całą sprawę z tym Alexandrem? 
Rozumiesz? 
 - Tak, mamo. 
 Potrząsnęła mną gniewnie, ale nie za mocno. - Wiesz, dlaczego to masz zrobić? 
 - Tak, mamo. Dobrze; mamo. On jest naprawdę miły. Zobaczyłam, że jej oczy znów 
zmieniły wyraz, i zachwiałam się. Poczułam, że ziemia się pode mną zapada. Ona miała oczy 
pełne piekących łez. Wzrok łagodny i szalony zarazem. 
 - Słuchaj, Greeno. W zeszłym tygodniu skończyłam trzydziestkę. 
 - Wiem. 
 - Zamknij się i słuchaj. Byłam w Medycznym. Źle ze mną, Greeno. 
 Patrzyłyśmy na siebie. Cóż, żadna niespodzianka. Każdemu się zdarza. I tak pociągnęła 
dłużej niż większość. Tutaj średnia wynosi dwadzieścia pięć. 
 - Nie chciałam ci nic mówić, nie teraz. Jeszcze przez trzy miesiące nie muszę iść do 
szpitala. Miewam bóle, ale od czego jest Ubezpieczenie: mogę kupić naprawdę dobry środek, 
ten nowy. 
 - Mamo...

- Cicho bądź. Chcę cię spytać, czy wiesz, co masz zrobić. Z dziećmi. To twoje siostry i brat, 
wiesz o tym, prawda? 
 - Tak. Zajmę się nimi. 
 - Niech on ci pomoże. Zrobi to. Chce cię naprawdę. Miał strasznego pecha ten Alexander. 
Jego legalna dziewczyna skończyła na raka. Urodzona w Centrum i tak dalej, a miała 
osiemnastkę, gdy wykorkowała. Za to nam się udało. Dzięki Bogu, zapisałam cię na 
sterylizację, gdy byłaś mała. Widzisz, on nie może legalnie spać z inną dziewczyną, jeżeli w 
grę wchodzi zapłodnienie. Okazuje się, że jest obciążony: ryzyko deformacji. A wcale nie 
wygląda. 
 - Tak, mamo. Znam przepisy rozrodu. 
 Nie uderzyła mnie, ani nawet nie zbeształa za pyskowanie. Chyba przyjęła to jako 
zapewnienie, że wiem, o co chodzi. Zresztą nietrudno było dociec, jaki kłopot ma Alexander. 
W przeciwnym razie dlaczego miałby brać dziewczynę z zewnątrz? 
 - Jeśli chodzi o Anielkę - powiedziała matka - chcę, żebyś dopilnowała u niej tego samego: 
sterylizacja w przyszłym roku, gdy skończy pięć lat. Ona też ma szansę, może wyrosnąć na 
bardzo ładną. Daisy nie będzie miała z siebie pożytku, chłopiec tak samo. Ale postarasz się tu 
sprowadzić przyzwoitą kobietę, żeby się nimi zajęła. Żadnych przytułków. Nie dla moich 
dzieci. 
 Westchnęła i mówiła dalej: - On ci pomoże. jeśli to dobrze rozegrasz, zrobi wszystko, co 
zechcesz. Będzie cię nosił na rękach. Puściła mnie i krzywiąc twarz w uśmiechu powiedziała: 
 - Miałyśmy dziesięć zgłoszeń. Poszłam zobaczyć się z każdym z nich. Ten jest najmłodszy i 
najlepszy. 
 - Tak, świetny. Dziękuję, mamo. 
 - Tylko pamiętaj, żebyś mnie nie zawiodła. 
 - Nie zawiodę. Przyrzekam. Naprawdę przyrzekam. Kiwnęła głową, potem jej twarz 
skurczyła się pod szczelną maską pogardy, a oczy przybrały zwykły wyraz. 
 - Zejdźmy już. Powinnam czymś posmarować siniaki Daisy. 
 Słyszałam, jak na dole matka odchodzi dzieci po kolei, pociesza i upomina, smarując bolące 
miejsca maścią uśmierzającą. 
 Gdy tak stałam na schodach, w przytłaczającej ciemności domu, przez moment czułam, że 
kocham moją matkę. 
 Potem mi przeszło. Zaczęłam myśleć o panu Alexandrze i jego ubraniu, o blasku oczu i 
zdrowej, opalonej twarzy. 
To było piękne. Wcale nie przysłał gońca. Przyjechał sam. Siedział w małym, szczelnym 
samochodzie pancernym, przypominającym aligatora z telewizji, ale zaraz wyskoczył i po

betonie wbiegł do naszego domu. (Jego goryl bezceromonialnie został w wozie. Miał pistolet 
i obojętnie czujny, śmiercionośny wygląd.) 
 Pan Alexander przyniósł mi pół tuzina nieskazitelnie herbacianych róż, pudło jedzenia dla 
domu, zabawki i kasety wideo dla dzieci, nawet dżin dla matki. Przypuszczalnie jeszcze nie 
wiedział, że zostały jej tylko trzy miesiące, choć pewnie się tego domyślał. Nadskakiwał jej z 
każdej strony, a kiedy matka wypowiadała potwierdzenie zgody do przenośnego rejestratora, 
pocałował mnie w usta, po czym wyjął butelkę szampana. Wino było bardzo pieniste i jeden 
kieliszek przyprawił mnie o zawrót głowy. Nie smakowało mi, lecz poza tym uroczystość 
wypadła wspaniale. 
 Nie wiem, ile za mnie zapłacił. Nigdy go o to nie zapytałam, ani o prawne zabiegi, jakie 
zmuszony był stosować. Mógł sobie na to pozwolić, a o to jedynie chodziło mojej matce, 
mnie. (Ona cały czas wpłacała na Ubezpieczenie i teraz świadczenia, odpowiednio 
zwiększone, przejdą na dzieci.) 
 Wreszcie musiała mu powiedzieć o szpitalu. Wiem na pewno, że osobiście dopilnował, by 
miała osobny pokój i najnowszy środek uśmierzający, a eutanazję wyznaczono, dopiero kiedy 
będzie gotowa. Nie pozwolił mi się z nią tam zobaczyć. Zresztą ona mówiła, że sobie tego nie 
życzy. Zaczęła już tracić wagę i kurczyć się, jak to zwykle bywa. 
 Dzieci strasznie płakały. Myślałam już, że nic nie da się zrobić, ale w końcu wyszukana 
przez niego agencja przysłała nam dziewiętnastoletnią kobietę po utracie własnego dziecka, 
która umiała od razu nawiązać uczuciowy kontakt. Bezpieczny dom stanowił oczywiście 
nieodparty argument dla każdego przy zdrowych zmysłach. Agencja odpowiednio zadba o 
wszystko, zresztą ona miała niski poziom, powinna pociągnąć co najmniej sześć lat. Gdy 
byłam tam ostatnio, wszyscy wyglądali na zadowolonych. On nie chce mnie już puszczać na 
zewnątrz. 
 Pół roku temu oficjalnie wprowadził mnie do centrum. Wszystkie drzewa były 
niesamowicie zielone, ryby i łabędzie pluskały się w wodzie i na wodzie, ptaki śpiewały, a on 
podarował mi żywego ptaszka w obszernej, przepięknej klatce; przepadam za tym ptakiem, 
który czasem śpiewa. Może przeżyje tylko rok, ale wtedy dostanę nowego - obiecał mi. 
 Czasami chodzę do kabiny w holu jednej z historycznych budowli i czytam przez głośnik 
zawiadomienia. Płacą mi w krążkach kredytowych Centrum, choć właściwie nie potrzebuję 
własnych pieniędzy. 
 Dwa pokoje na Fairgrove Avenue, które należą do mnie, są wspaniałe. Światła włączają się 
i wyłączają, kiedy ktoś wchodzi albo wychodzi, zasłony zasuwają się z nastaniem zmroku, 
rolety chronią przed jaskrawym blaskiem. Łazienka z prysznicem zawsze pachnie świeżością, 
jak leśna polana w słońcu powinna - i pewnie kiedyś pachniała. Widuję go cztery, pięć lub 
sześć razy w tygodniu, chodzimy na kolacje i na filmy, on zawsze przynosi mi prawdziwe 
kwiaty, czekoladki, owoce i miód. Kupuje mi nawet książki do czytania. Niekiedy uczę się 
nowych słów ze słownika. 
 Gdy kochał się ze mną po raz pierwszy, odniosłam dość dziwne wrażenie, ale on był bardzo 
delikatny. Przeczuwałam, że mogę to bardzo polubić (miałam rację), choć w pewnym sensie 
robienie tego wydaje mi się raczej krępujące.

Tej pierwszej nocy, już po wszystkim, trzymał mnie w ramionach i było mi dobrze. Nikt 
nigdy mnie nie obejmował z opiekuńczą troską. Opowiadał mi też o tej dziewczynie, która 
skończyła na raka. Zdaje się, że on bardzo się tym przejmował, tak jakby nikt w ten sposób 
nie umierał, ale przecież w Centrach, pod kopułami, śmierć to nie zawsze pewnik. 
 Mojej matce zależało jedynie na czasie, a gdy ten się wyczerpał, na wyzwoleniu od bólu i 
bezpiecznym odejściu. Lecz mój kochany myśli, że jego dziewczyna pragnęła o wiele więcej i 
że ja powinnam także więcej chcieć. To mnie trochę przeraża, bo przecież mogę nie dożyć 
dwudziestki i wtedy znów złamię mu serce. Ale on pewnie znajdzie kogoś nowego. A może 
będę silna jak matka. Mam nadzieję. Chcę dotrzymać obietnicy dotyczącej dzieci. Jeżeli uda 
mi się ustawić Anielkę, ona dalej da sobie radę. Potrzebuję tylko na to dziesięciu czy 
jedenastu lat. 
 Wczoraj zdarzyło się coś wesołego. Powiedział, że jutro, to znaczy dziś, przyniesie mi 
zabawkę. Tak, zabawkę, choć jestem kobietą i jego kochanką. Nigdy nie miałam zabawki. 
Najbardziej kocham mojego ptaszka. Jego też kocham. 
Jednak najdziwniejsze, że brakuje mi matki. Ciągle rozpamiętuję jej słowa, krzyki, bicie za 
karę. Wspólne chodzenie po zakupy albo do kina; ataki furii, zgrzytanie połamanych zębów. 
 Jak przez mgłę pamiętam niekończące się dni Alarmu pogodowego, gdy byłam mała: 
siedziałyśmy we dwie w domu jak w więzieniu i zaczynał lać deszcz, straszne, złowrogie 
strumienie, których się bałam, wówczas jeszcze bezwiednie. Całe trujące promieniowanie 
gromadzi się stale i wszędzie jak niewidzialne lśnienie; jakoś przenika do nieba, a stamtąd 
spłukuje je w dół deszczowy potop. Ocenzurowana płatna telewizja rzadko podaje do 
publicznej wiadomości wypadki i przeoczenia, za sprawę których wciąż tak się dzieje. 
Czasem ogłaszano, że wszyscy mają opuścić ulice i wejść do środka, z niewyjaśnionych 
powodów, bez groźby deszczu czy wiatru. Policyjne wozy krążyły po ulicach na sygnale, 
wreszcie one też wślizgiwały się do swych kryjówek. Następnego dnia zwykle było Bez 
Zmian. 
 W Centrum telewizja nie podlega cenzurze. Byłam ciekawa, co mówią o przeciekach i 
zanieczyszczeniach - tutaj. I właściwie wcale o tym nie wspominają. Chyba pod kopułą to 
wszystko nie ma znaczenia. 
 Wciąż przypomina mi się pewien ranek straszliwej ulewy; miałam wtedy sześć lub siedem 
lat. Usiłowałam wypatrzyć coś w zakazanym świecie, z nosem przylepionym do Uszczelu. 
Poprzez niezbyt przejrzysty materiał widziałam tylko zacinające, szare strumienie wody. 
Nagle zobaczyłam coś tak niesamowitego, że aż zapiszczałam głośno. 
 - Co jest? - zapytała matka. Zmywała właśnie naczynia po śniadaniu zużywając połowę 
porannego przydziału filtrowanej wody; ze złością stuknęła talerzami. 
 - Greeno, przestań wydawać głupie odgłosy. 
 Pokazałam palcem. Matka podeszła, żeby zobaczyć. 
 Wpatrywałyśmy się razem w strugi deszczu, gdzie maleńka dziewczynka, może roczna - s t 
a ł a p o p r o s t u n a u 1 i c y . Nie wiadomo, jak się tu znalazła; najpewniej zgubiła się 
jakimś dzikim lokatorom. Miała na sobie krótkie, niebieskie spodenki i nic poza tym; ściskała

strzęp starego koca udający lalkę. Nawet przez szczelne okna i tafle deszczu widać było, że 
zanosi się płaczem z przerażenia. 
 - Jezu Chryste Matko Święta - powiedziała moja matka jednym tchem. Twarz jej zbielała 
jak wyszorowany zlew w kuchni. Lecz oczy pałały żywym ogniem, gotowe wstrzymać 
deszcz. 
 W następnej sekundzie wepchnęła mnie do pokoju z telewizją i zamykając na klucz 
krzyczała: 
 - Siedź tam i nie ruszaj się, bo cię zamorduję ! 
 Potem usłyszałam, że jedne i drugie drzwi frontowe zostały otwarte. Zamknięte. Kiedy się 
otworzyły i zamknęły, dobiegł mnie histeryczny dziecięcy wrzask. Zaraz stał się głośniejszy i 
wypełnił cały dom. Wreszcie ucichł. Pojęłam, że matka wybiegła w tę pogodę, złapała 
dziecko i wniosła pod dach. 
 Oczywiście to było bezcelowe. Kiedy następnego dnia, po ogłoszeniu Bez Zmian, 
pojechałyśmy do stacji nagłych wypadków, dziewczynka umierała. Była taka malutka. Do 
końca ściskała skrawek koca, odwracając się od mojej matki i od pielęgniarki z miłosierną 
igłą zapomnienia.. Tylko ten łachman był jej przyjacielem. Kawałek koca, który towarzyszył 
jej cierpieniom pośród deszczu. 
 Kiedy matka płaciła za zabieg i za nasze odkażanie, obsługa stacji mówiła jej straszne 
rzeczy, ganiąc jej głupotę, aż zaczęłam płakać ze strachu i poniżenia. Matka zignorowała 
mnie i przyjęła uwagi z podniesionym czołem, tylko warczała przez zęby jak rozjuszone 
zwierzę. 
 Całą drogę do domu płaczliwie narzekałam. Dlaczego zaprowadziła mnie do tych 
okropnych ludzi, którzy poszturchiwali nas swoimi narzędziami, oblewali gorącym 
prysznicem, mówili i robili rzeczy nieprzyjemne i bolesne? (Teraz widzę, że okazywałam w 
ten sposób zazdrość o małego, skażonego intruza. Wtedy byłam jedynym dzieckiem w domu.) 
 - Do łóżka ! - krzyknęła matka. Nie posłuchałam. Wreszcie wzięła się za mnie i sprała 
plastykowym pasem. Tak gwałtownie, jakby spuszczała cięgi całemu światu; na koniec 
zmusiła się, by przestać. 
 Ale teraz jestem tutaj, z moim kochanym i z moim ślicznym śpiewającym ptaszkiem. Widzę 
skraj zielonego parku z obu okien. I nigdy, nigdy nie pada. 
 To dziwne, że tak bardzo tęsknię za matką.